

FIKOŁEK



Artur Miłoś

# FIKOŁEK



2024

Copyright © by Artur Miłoś, 2024

**Tekst, wybór zdjęć**

Artur Miłoś

**Redakcja i korekta**

Barbara Kaszubowska i Artur Miłoś

**Zdjęcie główne okładki i zdjęcia sesyjne**

Justyna Pruszyńska

**Opracowanie graficzne, skład i łamanie**

JNK Graftekst Justyna Nowaczyk

e-mail: just.nowaczyk@gmail.com



Przez chwile, dni, lata niezaplanowane  
Zmierzam przed siebie zawsze w nieznane  
Słuchając niezmiennie wewnętrznego głosu  
Cierpliwie czekam na kolejny werdykt losu

A.M.



*Dla Danusi, Miśki, Tymka i Minka*

## V. „Oh Canada”

Już w trakcie drugiego roku studiów na uczelni AWF we wrześniu 1997 r. rozpocząłem pracę w szkole podstawowej jako nauczyciel wychowania fizycznego. Miałem wówczas dwadzieścia jeden lat i byłem najmłodszym belfrem uczącym w szkole. Na początku bardzo ucieszyłem się z zatrudnienia. Czasy nie należały do najłatwiejszych i wciąż trudno było o pracę. Próbowałem wcześniej na budowie i w kamieniołomach, ale nie pasowałem tam mentalnie ani fizycznie. Tymczasem zatrudnienie w szkole było w miarę stabilne i pieniądze, choć małe, wypłacano zawsze na czas. Praca nie należała jednak do najłatwiejszych. Byłem młody i niedoświadczony, a do tego szkoła, w której pracowałem, nie miała sali gimnastycznej. W czasie deszczu zajęcia odbywały się w korytarzach budynku szkolnego lub w małej salce o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych. Wymyślałem więc przeróżne ćwiczenia, żeby tylko czymkolwiek zająć uczniów w klasach liczących po trzydzieści osób. W takie dni komfort pracy był kiepski. Z kolei po obfitych opadach śniegu graliśmy w piłkę na zaśnieżonym boisku. Pomimo szczerych chęci i starań nie mogłem odnaleźć się w tym zawodzie. Jednakże w domu wciąż wszystkiego brakowało i musiałem zarabiać na siebie, ażeby chociaż opłacić studia. Jednocześnie pracowałem też w rodzimym klubie w charakterze trenera trampoliny. Grafik miałem bardzo napięty. Niezwłocznie po pracy w szkole pędziłem bez obiadu do klubu. Na koniec dnia pozostawał mi jeszcze własny intensywny trening trampoliny. Przebierałem się i trenowałem do godziny dziewiętnastej. Przed dwudziestą zmęczony wracałem do domu i nie miałem już ochoty na nic więcej. Bywałem zrezygowany.



Pod koniec września 1997 r. okazało się, że mało znany w Polsce Cirque du Soleil poszukiwał akrobatów do pracy w Las Vegas. Wówczas w Las Vegas pracowało już trzech znajomych Polaków, w tym dwóch z Jawora: Marek Haczekiewicz i Zdzisław Pełka. To właśnie oni zasugerowali włodarzom cyrku jaworskich skoczków. Ruszyły intensywne poszukiwania. Z początku nie brano mnie pod uwagę. Byłem o dziesięć centymetrów za wysoki na standardy i potrzeby spektaklu. W pierwszej kolejności rozważano zatrudnienie niższych ode mnie: brata Sławka oraz kolegę z klubu Jakuba. O rekrutacji dowiedziałem się przypadkowo. Podczas zawodów pucharu Polski Kuba zaczął głośno przechwalać się wylotem do Stanów i pracą w cyrku. W tamtym momencie szczerze mu tego zazdrościłem. Raz już miałem i straciłem podobną szansę. Jednocześnie byłem lekko zaskoczony tym, że oferta pracy w cyrku była trzymana przede mną w tajemnicy. Nawet brat mi nie powiedział. Cóż, pewnie nie chciał robić mi przykrości. Inna sprawa, że w tamtym czasie nie przepadałem za przedstawieniami cyrkowymi i myśl o pracy na scenie cyrkowej nie za bardzo mnie ekscytowała. Co innego perspektywa wylotu do pracy w USA. Ta była już dla mnie bardzo atrakcyjna. Marzyłem o nauce języka angielskiego i o dostępie do wszystkich wydawnictw muzycznych.

Chłopaki ruszyły z przygotowaniami i na początku października 1997 r. zaplanowały rejestrację własnych umiejętności na trampolinie. Już wtedy Cirque nie zatrudniał w ciemno i wymagał zaprezentowania odpowiedniego materiału do oceny. Rejestracja miała miejsce w sobotę. Byliśmy na sali treningowej tylko we trzech, a z nami kamera VHS. Panowała złota polska jesień. Za oknami wypełnione melancholią piękne widoki kolorowych liści opadających z drzew. Zmęczony po całonocnej imprezie, mocno zakrapianej alkoholem, nie potrafiłem zebrać myśli. Nie zważałem na formę sportową. Miałem się pojawić na sali treningowej jedynie do pomocy i moje samopoczucie nie miało większego znaczenia. W trakcie nagrywania zachęcono mnie jednak do wzięcia udziału w treningu i rejestracji własnych umiejętności. W końcu taśmy VHS było wystarczająco dużo dla nas trzech. To właśnie wtedy od niechcienia i na luzie skoczyłem

najtrudniejszą rutynę w życiu. Nigdy później nie powtórzyłem czegoś takiego. Na moje szczęście pełne nagranie z tego wyczynu zachowało się do dzisiaj.

Zaraz po skończeniu nagrań wysłaliśmy materiał do siedziby cyrku w Montrealu. Adres dostaliśmy od Marka. Potem mieliśmy jedynie czekać na informację zwrotną. Po kilku dniach sprawa przygasła i wróciliśmy do codziennych obowiązków. W tamtym czasie przygotowywałem się do Mistrzostw Europy w Eindhoven i miałem zgoła inne priorytety. Niepewną perspektywę pracy w Cirque odsunąłem na dalszy plan. Wolałem się nie nakręcać. Już raz mi nie wyszło. W natłoku obowiązków nawet zapomniałem o wysłanym materiale. W listopadzie dowiedzieliśmy się, że nasze nagrania nie dotarły jeszcze do Montrealu, a rekrutacja w Cirque nabierała tempa. Brak nagrań dyskwalifikował nas już na samym początku. Motywowani i ponaglani przez ekipę Polaków z Vegas ponownie wysłaliśmy nagranie do Montrealu pod ten sam adres – i znów bezskutecznie. Szansa na przygodę życia oddalała się dla nas wszystkich. Na nasze szczęście znajomi nie poddawali się i w dalszym ciągu naciskali na przekazanie nagrań. Co jednak jeszcze mogliśmy zrobić? Kasetą była już wysłana dwa razy i nie docierała do celu. Nie mieliśmy już pomysłu, lecz najwyraźniej ktoś czuwał nade mną. Był grudzień 1997 r. i czas przedświątecznych zakupów. Tknęło mnie wtedy, ażeby wstąpić do małego sklepu spożywczego, którego zazwyczaj nie odwiedzałem. Spotkałem tam Adama, brata Marka Haczkiwicza. Złożyłem mu świąteczne życzenia i kurtuazyjnie spytałem o plany na święta i sylwestra. Zaskoczony dowiedziałem się, że właśnie szykował się do wylotu do Las Vegas. Korzystając z okazji, poprosiłem więc Adama o przekazanie kasety Markowi. Dla mnie była to ostatnia szansa dostarczenia nagrania do cyrku. Jak się później okazało – skuteczna. Marek nie tracił czasu i wysłał nagrania wewnętrzną pocztą cyrku z Vegas prosto do Montrealu. Tym razem kasetą dotarła do biura Cirque bez problemu. Później już w czasie pobytu w Montrealu dowiedziałem się, że kod pocztowy na wcześniejszych wysyłkach był nieprawidłowy i wysłane przeze mnie kasety dotarły do cyrku dopiero wiosną 1998 r., zatem dawno już po zakończeniu rekrutacji.

Na początku stycznia 1998 r. zadzwonił w domu telefon. Było późno, około dwudziestej trzeciej. Byłem po kilku piwach i właśnie oglądałem w telewizji koncert zespołu Rainbow. Bardzo zdziwił mnie telefon o tak nietypowej porze. W pierwszym odruchu pomyślałem, że to pomyłka lub głupi żart. Zignorowałem dzwonek i wróciłem do oglądania koncertu. Po krótkiej chwili telefon rozdzwonił się ponownie. Zirytowany podniosłem słuchawkę, gotów powiedzieć, co o tym myślę. Usłyszałem jednak mężczyznę mówiącego po angielsku. Mało z tego rozumiałem. Na szczęście efekt buzującego w żyłach chmielu spowodował, że łamaną angielszczyzną poprosiłem o telefon nazajutrz. Brzmiało to mniej więcej tak: *tomorrow five o'clock*.

Następnego dnia poprosiłem o pomoc w tłumaczeniu rozmowy Marka Skrzewskiego. Czekaliśmy więc o piątej razem na telefon. Zadzwonił o umówionej godzinie. Z rozmowy wynikało, że Cirque był zainteresowany zakontraktowaniem tylko dwóch akrobatów. W pierwszej kolejności na treningi w Montrealu, a następnie z możliwością podpisania kontraktu na pracę w Las Vegas. Zainteresowani byli moim bratem i Jakubem, ja pozostawałem rezerwowym. Oczekiwali niezwłocznej deklaracji współpracy. Pozostawiono nam kilka dni na przemyślenie całej sprawy. Ponownie umówiliśmy się na telefon. To nie były łatwe decyzje. Każdy z nas miał własne życie osobiste i zawodowe. Perspektywa porzucenia wszystkiego i ruszenia w nieznaną nie należała do najbardziej obiecujących. Mój brat miał małe dziecko. Jakub zakochany po uszy właśnie leczył kontuzje zerwanych ścięgien kolana.

Na kolejną rozmowę zebraliśmy się w domu u Jakuba. Tamtego dnia mieliśmy ostatecznie zdecydować o przyjęciu lub odrzuceniu zaproszenia do pracy w cyrku. Telefon zadzwonił jak zawsze o umówionej godzinie. Marek ponownie prowadził rozmowę po angielsku. Tłumaczył nam na bieżąco jej przebieg. Bez niego nie dalibyśmy rady się dogadać. Siedzieliśmy po całym pokoju i z zainteresowaniem słuchaliśmy tego, co nam przekazywał. Padły kluczowe pytania po kolei do każdego z nas. W pierwszej kolejności zapytano mojego brata, czy chciałby pracować dla cyrku. Odmó-

wił bez namysłu. Kuba zrezygnował równie szybko jak mój brat. Zapytano mnie jako ostatniego. Bez wahania wyraziłem zgodę. Po odłożeniu słuchawki w pomieszczeniu nastała głucho cisza. Chyba wszyscy zdaliśmy sobie sprawę z konsekwencji naszych decyzji. Nie wiem jak reszta, ale ja bardzo cieszyłem się z podjęcia rzuconego mi wyzwania.

Kolejna rozmowa telefoniczna, już tylko ze mną, miała dotyczyć szczegółów mojego przylotu do Montrealu. Po dwóch tygodniach telefon zadzwonił raz jeszcze. Był poniedziałek, a Cirque chciał mnie widzieć w Montrealu za trzy dni, w czwartek. Nie byłem na to gotowy. Potrzebowałem czasu na ogarnięcie spraw. Po krótkich negocjacjach dano mi do dyspozycji dwa tygodnie.

Od tego momentu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kontrakt treningowy oraz dokumenty do wizy zostały przefaksowane. Bilety na samolot miały być dostarczone za pośrednictwem kuriera na adres domowy. Nie zwolniłem się z pracy – wzięłem bezpłatny dwumiesięczny urlop na wypadek, gdyby nic nie wyszło z pracą w cyrku. Nadesłany kontrakt dotyczył bowiem dwumiesięcznego okresu próbnego i nie gwarantował dalszego zatrudnienia. Na AWF wzięłem roczny urlop dziekański. Kupiłem ciepłe rzeczy i ogarnąłem dentystę. Pozostała do załatwienia wiza, czekała mnie więc podróż do Warszawy. W czwartkowy wieczór udałem się autobusem do stolicy, do siedziby ambasady Kanady. Podróż trwała całą noc. Podziębiony, zmarznięty i głodny wysiadłem na Dworcu Centralnym w Warszawie. Wszystko było wtedy pozamykane, ludzie pędzili do pracy, a ja nie miałem dokąd się udać. Przez dwie godziny kręciłem się bez celu, próbując odrobinę się ogrzać w wychłodzonych pomieszczeniach dworca. Następnie udałem się w kierunku ambasady. Na miejscu zastałem kolejkę, wszyscy czekali na otwarcie drzwi. Zaraz na wejściu otrzymałem do wypełnienia wnioski o wizę. Usiadłem w przytulnym i ciepłym korytarzu i przez dłuższą chwilę siedziałem w bezruchu w komfortowym wnętrzu. Czekałem, aż temperatura ciała wróci do właściwego poziomu. Poczułem się lepiej. Zaraz potem przerażony zorientowałem się, że pytania w kwestionariuszu do wizy były wyłącznie po angielsku i francusku. Nic nie rozumiałem.

Bardzo uprzejmie i równie naiwnie poprosiłem więc o pomoc pracownicę ambasady. Ta, dość mocno zirytowana prośbą, odmówiła. Wróciłem na miejsce zrezygnowany. Przeszkoda językowa była dla mnie nie do przejścia. Nie miałem też w zapasie kolejnego dnia na załatwienie sprawy. Ambasada miała ściśle określone dni i godziny przyjmowania wniosków o wizę. Czas uciekał nieubłaganie, a wraz z nim praca za oceanem. Miałem pretensje do samego siebie, że to, co najważniejsze, jak zwykle zostawiłem na ostatnią chwilę. Był piątek, koniec tygodnia, a mój wylot do Kanady planowany był w poniedziałek. Pozostały mi dwie godziny w ambasadzie i nie miałem czasu na odszukanie pomocy w Warszawie, w której byłem przecież pierwszy raz w życiu. Z każdą upływającą minutą wizja wylotu do Montrealu znikąca za horyzontem. Wtedy to pomoc przyszła dosłownie znikąd. Nieznajomy mężczyzna, prawdopodobnie widząc moją bezradność i zakłopotanie, podszedł i bezinteresownie pomógł wypełnić cały wniosek. Kimkolwiek byłś wtedy człowiekiem, bardzo Ci dziękuję!

Zaraz po tym złożyłem wniosek na ręce mojej ulubionej pracownicy ambasady. Wyraźnie była niezadowolona z mojego sukcesu. Cóż, ona zostawała w ambasadzie, a ja leciałem do Kanady. Kilka godzin później w moim paszporcie widniała kanadyjska wiza wraz z pozwoleniem na pracę w cyrku. Formalnie byłem gotowy do wylotu. W dalszym ciągu brakowało mi jednak biletów lotniczych. Wysłane FedExem lada chwila miały być doręczone. Pewny, że się pojawią, nie zważałem na ich brak, wróciłem do domu i rozpocząłem pakowanie. W sobotę poszedłem jeszcze na bal studniówkowy i dobrze się bawiłem. Następnego dnia przez całą niedzielę żegnałem się z najbliższą rodziną i przyjaciółmi. Pożegnania okazały się znacznie trudniejsze, aniżeli to sobie wyobrażałem. Im bliżej było wylotu, tym trudniej to znosiłem. Nie chciałem nikomu okazywać smutku. Na koniec zamknąłem się więc w łazience i ryczałem jak bóbr. Miałem lecieć w nieznaną i tak naprawdę nie wiedziałem, co mnie czeka w tak odległym kraju. Pomyślałem pretensjonalnie, że życie potraktowało mnie bardzo okrutnie, skoro zostałem zmuszony do opuszczenia rodzinnego domu, dziewczyny, przyjaciół i wylotu w nieznaną do obcego mi świata.

W niedzielny wieczór byłem już wyplakany i gotowy. Czekala mnie długa podróż samochodem do stolicy. Wciąż nie miałem biletów lotniczych, mimo to postanowiłem ruszyć w trasę. Liczyłem na to, że bilety będą do odbioru na lotnisku. Podróż daewoo tico zajęła nam ponad osiem godzin. Spałem, a w chwilach przebudzenia nie mogłem ogarnąć emocji i cicho szlochałem. W biurze Air France dowiedziałem się, że nie było dla mnie żadnych biletów lotniczych do odbioru. Co więcej, nie było możliwości wydania wtórników, choć widniałem na liście pasażerów lotu. Nie wiedziałem, co robić: wylot za dwie godziny, a ja bez biletów. Podenerwowany zadzwoniłem do domu, a tam kurier FedEexu właśnie doręczał mojej mamie bilety. To jeszcze nic. Z rozmowy z kurierem okazało się, że miał moje bilety przez cały weekend w miejscowości oddalonej od mojego domu o niecałe 40 km. Byłem tak blisko, że mogłem odebrać przesyłkę osobiście. Spanikowany natychmiast zadzwoniłem do Marka. Ten przefaksował do cyrku informację o zaistniałej przeszkodzie. W Montrealu była dopiero trzecia rano. Nic nie mogliśmy wskórać i musiałem wracać do domu.

Nie miałem bladego pojęcia, co dalej. Bilety na lot do Montrealu kosztowały fortunę. Na szczęście tego samego dnia Cirque poinformował mnie o zmianie terminu wylotu na najbliższy czwartek. Tym razem bilety miały na mnie czekać w siedzibie Air France na lotnisku w Warszawie. Miałem dodatkowe trzy dni w domu i to mnie akurat uspokoiło. Raz jeszcze na spokojnie mogłem pożegnać się ze wszystkimi. Tym razem nie płakałem aż tyle i ruszyłem do Warszawy autobusem z drugim bratem Darkiem. W dniu 29 stycznia 1998 r. pierwszy raz w życiu wsiadłem na pokład samolotu, boeinga 737, który leciał do Paryża. To było niezapomniane doświadczenie. Wreszcie zrealizowałem marzenie o locie samolotem. Od najmłodszych lat wpatrywałem się w niebo na samoloty przelatujące nad moją głową. Patrząc na nie, starałem się odgadnąć, jakie to uczucie: lotu i przebywania w przestworzach. Najbardziej w tym wszystkim zasmakował mi start samolotu i moc jego wyniesienia w przestworza. Gorzej było z wahaniami ciśnienia. Miałem wrażenie podczas lotu, że głowa mi pęknie. Dopiero po latach dowiedziałem się, że wszystko

to miało związek z zatkanymi zatokami. Kilka tabletek na ból zatok i lot samolotem przestawał być bolesny. Po krótkim locie z warszawskiego lotniska wylądowałem na lotnisku de Gaulle'a w Paryżu. Port lotniczy zrobił na mnie ogromne wrażenie. Nie wiem jak, ale dość szybko znalazłem na nim miejsce następnego wylotu. Kolejny lot, już bezpośrednio do Montrealu, odbyłem potężnym boeingiem 747. To było całkowicie inne doświadczenie latania. Samolot był przeogromny. Do tego dostałem miejsce przy samym oknie i mogłem podziwiać cały świat z lotu ptaka.

Opócz doznań wizualnych oswajałem się jednocześnie z obcym środowiskiem. Z biegu zacząłem szlifować angielski, aczkolwiek początki nie były zbyt udane, a wręcz komiczne. Na pytanie rozdającej posiłek stewardessy *chicken or fish?* odpowiedziałem pewny siebie: *double scotch, please*. Widząc zakłopotanie na twarzy kobiety, powtórzyłem głośniej. Do akcji wkroczył siedzący obok mężczyzna. Dotarło do mnie. Dostałem kurczaka i podwójną szkocką. Do końca lotu już się nie odzywałem, a po przeszło siedmiu godzinach wylądowałem w Montrealu. Na lotnisku czekała mnie odprawa celna, tym razem w języku francuskim. Tu już nie szło o wybór kurczaka i ryby. Francuski znałem jedynie z refrenu hitu z czasu PRL-u: *Comment ça va? Comme ci, comme ci, comme ci, comme ça*. Ani słowa więcej. Na moje szczęście dokument wizy pracowniczej, wystawiony na rzecz Cirque, okazał się zbawieniem. Celnik uśmiechnął się tylko do mnie i przepuścił dalej. W hali przylotów oczekiwał pracownik cyrku z wypisanym na tabliczce dużymi literami nazwiskiem MILON. Poczulem się niczym gwiazda rocka. Następnie busem przemykałem zupełnie obcymi ulicami Montrealu w towarzystwie nocnych świateł. Widzę te obrazy miasta do dzisiaj. Po pół godzinie jazdy dotarliśmy na miejsce zakwaterowania. Moim współlokatorem w apartamencie okazał się Rosjanin o imieniu Misha. Był miłym, choć osobliwym gościem. Wyglądał jak wokalista Iron Maiden, Bruce Dickinson, z czasów nagrywania płyty *The Numer of the Beast*. Miał długie proste włosy i krótką grzywkę. Nosił na treningu białe skórzane kozaki, obcisłe legginsy oraz koszulkę na ramiączkach. Mieszkanie wyglądało

dobrze, otrzymałem do własnej dyspozycji pokój z łóżkiem i nocnym stolikiem, bez telewizora i radia, ale nie było to aż tak ważne. Zmęczony podróżą, położyłem się od razu spać. Różnica czasu między Jaworem i Montrealem wynosiła sześć godzin. Zasnąłem w okamgnieniu.





## VI. *J'aime* Montreal et Cirque du Soleil

Drugiego dnia pobytu Montreal przywitał mnie dwoma metrami śniegu. Nie mogłem w to uwierzyć, że z dnia na dzień warunki atmosferyczne uległy tak ogromnej zmianie. Dotarło do mnie, że obudziłem się w innym miejscu na ziemi. Za oknem ludzie poruszali się korytarzami wykopanymi pomiędzy hałdami śniegu. Dzień wcześniej nie było ani płątka śniegu. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Taki był urok tamtej części Kanady z mroźnymi długimi zimami i gorącymi krótkimi latami. Niestety tamtego dnia musiałem się zmierzyć z innym, bardziej ważkim problemem.

Otóż wedle treści kontraktu zagwarantowano mi darmowe zakwaterowanie oraz cotygodniowe, płatne z góry wynagrodzenie: trzysta dolarów. Z tego musiałem zapewnić sobie całe wyżywienie. Wydało mi się to wystarczające i dlatego po krótkiej analizie zabrałem ze sobą w podróż tylko pięćdziesiąt dolarów. Zresztą tak naprawdę na więcej nie mogłem sobie wtedy pozwolić, to i tak stanowiło równowartość połowy moich ówczesnych miesięcznych zarobków nauczyciela. Zaraz jednak po przylocie dowiedziałem się od współlokatora Mishy, że pierwszą wypłatę otrzymam dopiero za trzy tygodnie. Do tego prawie połowa wynagrodzenia potrącona zostanie na różnego rodzaju podatki krajowe i prowincjonalne. Nie mogłem w to uwierzyć! Przeprowadziłem w głowie szybką kalkulację kosztów wyżywienia. Wyszło na to, że przez następne tygodnie mogłem wydawać jedynie dwa dolary dziennie. Tymczasem zaczynałem od zera i nie miałem herbaty, kawy, cukru ani innych podstawowych produktów spożywczych. Wszystko trzeba było kupić, a pieniędzy miałem zbyt

mało. Po chwili obmyśliłem plan ratunku. Postanowiłem zadzwonić do domu i poprosić rodzinę o nadesłanie dodatkowych pieniędzy.

Wyszedłem w miasto. Na ruchliwej ulicy Jarry tuż obok mieszkania znalazłem budkę telefoniczną. Wykręciłem numer i zaraz potem zobaczyłem na ekranie wysokość przedpłaty za połączenie z Polską w kwocie jedenastu dolarów. Wystraszony odrzuciłem słuchawkę niczym gorącego ziemniaka. Nie stać mnie było na ten telefon; próba połączenia kosztowałaby mnie tyle, co sześciodniowe wyżywienie. Głodny i zde gustowany udałem się więc do najbliższego sklepu spożywczego – koreańskiego minimarketu. Nigdy wcześniej nie byłem w azjatyckim sklepie, zresztą kuchnia azjatycka również była mi obca na tamten czas. Wewnątrz panował nowy, nieznan i wręcz nieprzyjemny zapach produktów azjatyckich. Kupiłem tam najtańsze rzeczy: jajka, mleko i chleb tostowy. Nawet przy tak skromnych zakupach przekroczyłem mój dzienny limit dwóch dolarów. Zaraz pocieszyłem się jednak myślą, że rozdzielę zakupy na dwa dni weekendu i jakoś dam sobie radę. Niestety, po powrocie do domu odkryłem, że ledwo co kupione mleko było już zepsute. W opakowaniu znajdowała się śmierdząca woda i jakieś szarozielone gluty. Pozostały mi więc do jedzenia tylko jajka i chleb tostowy.

Na początku nie było tak źle. Jajecznicza na śniadanie, sadzone na obiad i jajka na twardo przy kolacji. Wszystko bez soli i przypraw. Nawet przez moment pomyślałem, że dam radę na tej tostowo-jajecznej diecie przez kolejne kilka tygodni. Jednak już pod koniec drugiego dnia było mi niedobrze od jajek. Znalazłem się w marnym położeniu i wszystko w ten pierwszy weekend zaczęło mnie przytłaczać. Samotność z godziny na godzinę doskwierała coraz bardziej, siedziałem w pokoju sam na sam z własnymi myślami i nie miałem z kim porozmawiać. Za oknem wciąż padał śnieg i było naprawdę bardzo zimno. Nie było szansy na spacer i przewietrzenie umysłu. Kolejny raz zatęskniłem za wszystkim i wszystkimi. Płakałem w poduszkę, poszukując sensu tego wszystkiego co mi się przytrafiło. Uciekałem w sen i słuchanie muzyki. Błagałem, żeby czas leciał jak najszybciej. Tak minął mi pierwszy weekend w Montrealu.

W poniedziałek z reklamówką w ręce ruszyłem do pracy. Miałem przed sobą kilka kilometrów spaceru. Mogłem skorzystać z autobusu, ale był to kolejny niepotrzebny wydatek. Szedłem więc powoli, delektując się widokiem Montrealu. Wszystko było dla mnie takie nowe i fascynujące. Po drodze minąłem sieciowy sklep Tim Hortons z kawą i świeżymi wypiekami. Zapach był zniewalający. Po dwóch dniach opędzonych na bazie jajek i chleba tostowego marzyłem o zasmakowaniu chociażby kawałka suchego pączka. Z wiadomych ekonomicznych względów nic z tego nie wyszło.

Po przeszło trzydziestominutowym spacerze w końcu dotarłem do siedziby cyrku. Zamiast namiotu ujrzałem nowoczesne, wysokie i przeszklone budynki. Już z daleka robiły ogromne wrażenie. Nawet przez chwilę zastanawiałem się, czy to aby właściwe miejsce. Może dotarłem nie tam, gdzie powinienem? Ale nie, byłem u celu – upewniła mnie w tym duża rzeźba cyrkowa znajdująca się przed głównym wejściem do cyrku. Zostałem ciepło powitany na wejściu. Jeszcze przed rozpoczęciem treningów musiałem przejść specjalistyczne badania i otrzymać stosowne dokumenty. Wśród nich była karta identyfikacyjna oraz bankowa. Zrobiono mi zdjęcia i zebrano wszystkie dane. Potem przebrałem się i ruszyłem na trening. Zabrało mi kilka dobrych minut zanim znalazłem stanowisko pracy. Podczas pierwszego treningu poznałem też moich dwóch trenerów. Byli nimi przesympatyczni Kanadyjczycy, Warren i Marshall. Każdy był inny pod względem warsztatu pracy z artystami cyrkowymi i każdy z nich był odpowiedzialny za inne bloki treningowe. Tych akurat było kilka w ciągu dnia. Nie od razu wiedziałem, czego będę się tam uczyć. Wszystko było dla mnie zupełnie nowe. Przydzielono mnie do treningu *teeterboard* (deska), *fastrack*, *chinese poles* oraz trampoliny. Dodatkowo miałem jeszcze zajęcia teatralno-artystyczne. Od poniedziałku do piątku poczynając od wczesnych godzin porannych do samego wieczora plan pracy miałem wypełniony przeróżnymi zajęciami. Nie było czasu na nudę i bardzo mi to odpowiadało. Tylko w weekendy zawsze wiało pustką. Na pierwszym treningu deski poznałem pozostałych kandydatów do pracy w cyrku. Poza znanym mi Mishą byli to jeszcze Holender Marc Dammers i Kanadyjczyk Shawn

Holloway. W sumie było nas czterech, a wakaty w Vegas tylko dwa. Każdy z nas miał świadomość tego, że dwóch zostanie odprawionych z kwitkiem. Nikt się tym jednak nie przejmował i na treningach mieliśmy mnóstwo dobrej zabawy. Atmosfera była rewelacyjna i dość szybko się zgraliśmy. Taki zresztą był cyrk: zawsze dużo luzu, humoru przy intensywnych i niebezpiecznych ćwiczeniach. Tylko Misha odstawał od nas i nie chciał z nami za dużo rozmawiać. Wręcz unikał wszelkiej integracji. Zawsze był gdzieś na boku we własnym świecie. Denerwował się, kiedy wspólnie żartowaliśmy. Potem w trakcie pobytu w Las Vegas dotarło do mnie, że Rosjanie już tak mieli z tym narodowym poczuciem dumy, odrębności i humoru. Trzymali się z dala od innych wyłącznie we własnym towarzystwie i nawet nie starali się zaakceptować kultury i obyczajów społeczeństwa, w którym przyszło im żyć i pracować. W przeciwieństwie do nich nie miałem z tym najmniejszego problemu. Entuzjastycznie podchodziłem do możliwości poznawania nowych ludzi i obcej kultury. Traktowałem wszystko jak życiową szansę na poszerzenie własnych horyzontów poznawczych.

Wszyscy w Montrealu bez różnicy nauczyliśmy się od podstaw nowych umiejętności. Całą czwórką zaczynaliśmy od poziomu zerowego. Niektóre rzeczy były łatwe i przyjemne, inne już nie. Najtrudniejsze stało się opanowanie chińskich masztów. Chiński maszt to metalowa rura o wysokości kilku metrów, po której trzeba było się sprawnie poruszać, niczym małpa. Taki popularny obecnie pole dance. Chińskie maszty wymagały techniki, siły, wytrwałości oraz przede wszystkim dużej cierpliwości. Przy ich nauce zrozumiałem, że nie ucieknę od budowania masy mięśniowej. Nigdy wcześniej nie była mi potrzebna, a na trampolinie mogła mi wręcz przeszkadzać. W momencie przylotu do Montrealu przy wzroście stu osiemdziesięciu centymetrów ważyłem sześćdziesiąt osiem kilogramów. Większość masy mięśniowej ulokowana była w moich nogach, reszta to skóra i kości. W masztach istotna była przede wszystkim siła ramion, pleców i mięśni brzucha.

Treningi odbywały się naprzemiennie w dwóch sąsiadujących ze sobą halach treningowych. To nie były typowe i znane mi do tej

pory hale treningowe. Stale się coś w nich zmieniało. Dużo rzeczy, instrumentów oraz urządzeń znajdowało się zamocowanych pod wysokim podwieszonych sufitem. Mogły być dowolnie opuszczane, przesuwane i ustawiane do konkretnych treningów. Poza naszą czwórką trenowali jeszcze inni artyści. Ruch był bardzo intensywny. Cyrk miał wtedy kilka spektakli na biegu. Szykował się do otwarcia nowych spektakli: *O* w Las Vegas i *La Nouba* w Orlando. W każdym spektaklu brało udział przeszło siedemdziesięciu artystów. Wszyscy krzątali się tu i tam wedle precyzyjnie ustalonego grafiku. Poza halami treningowymi w budynku cyrku były jeszcze liczne biura należące do różnych departamentów. Był departament artystyczny, księgowy i kreatywny. Powstawały tam nowe pomysły na spektakle i nie tylko. W Montrealu znajdowały się też główne hale krawieckie do projektowania i szycia strojów do wszystkich spektakli. Tych spektakli było sporo. Cirque produkował również własne ubrania i gadżety: kurtki, koszulki, spodnie i plecaki. Wszystkie zawierały logo cyrku – słońce. Każdego roku wszyscy pracownicy Cirque dostawali pełną odzież do treningu, nawet szlafroki. Była też tradycja w cyrku, że każdy artysta po przepracowaniu pięciu lat otrzymywał kurtkę skórzaną z logiem słońcem na plecach, Moja wciąż wisi w szafie.

Poza tym były tam restauracja i w korytarzu znajdował się bankomat. Przypominam, że w tamtym czasie w moim rodzinnym mieście Jaworze nie było żadnego. Zresztą wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak się posługiwać kartą bankową. Marc Dammers musiał mnie poinstruować. Po kilku latach powstał tam również hotel dla pracowników cyrku. Wejście możliwe było tylko z magnetyczną kartą identyfikacyjną. W sumie pracowało tam przeszło trzy tysiące pracowników. To nie tylko był cyrk – to była jedna wielka fabryka marzeń.

Po paru dniach pobytu dowiedziałem się o przybyciu do cyrku kolejnego Polaka. Tomek był skoczkiem do wody i uczestnikiem olimpiady w Seulu. Od dłuższego czasu mieszkał w Orlando w USA i posiadał obywatelstwo amerykańskie. W cyrku pojawił się docelowo do powstającego wówczas wodnego spektaklu *O*. Ucieszyłem się, albowiem wreszcie mogłem przez chwilę porozmawiać po polsku. Tomek był przemiłym gościem. Od razu też powiedziałem mu

o swoich problemach z pieniędzmi i brakiem jedzenia. Bez wahania znalazł rozwiązanie: zaprowadził mnie do biura cyrku, gdzie pomógł mi w uzyskaniu zaliczki. Zwrócono mi również koszty wizy kanadyjskiej. Tamtego dnia otrzymałem do ręki trzysta pięćdziesiąt dolarów. Zostałem uratowany i zaraz po treningu ruszyłem na zakupy do dużego marketu Maxi&cie. Kupowałem żywność bez opamiętania, chciałem zjeść wszystko, co wpadało mi w oko i pod rękę. Po kilku godzinach wracałem obwieszony zakupami, niosąc reklamówki w odmrożonych dłoniach. Wieczorem piłem już słodką herbatę i jadłem pyszne ciastka. Chociaż na krótką chwilę znieczuliłem wszechobecną, przenikliwą samotność. Od tego momentu moja dieta stała się wysoce proteinowa i bardzo mięsna. Szybko dobiłem do 78 kg wagi i umięśnionej sylwetki.



Na weekend Tomek zabrał mnie do samego centrum Montrealu. Jadąc miejskim autobusem, zobaczyłem stojący w oddali budynek stadionu olimpijskiego. Widok był dla mnie bardzo symboliczny. Olimpiada w Montrealu odbyła się w 1976 r. – w roku moich urodzin. Tam też zdobyliśmy historyczny, złoty medal olimpijski w siatkówce. Montreal urzekł mnie od pierwszego zwiedzania. Nowoczesność przeplatała się tam z wielowiekową tradycją. Pomiędzy wieżowcami stały zabytkowe kościoły. Miasto zresztą bardzo katolickie. Większość głównych ulic nosiła nazwę świętych oraz papieży. Ja mieszkalem przy ulicy Piusa IX, a na ulicy Świętej Katarzyny znalazłem największy w mieście sklep muzyczny o nazwie HMV. Na jego najniższym poziomie znajdowała się sekcja rockowo-metalowa. Wyszperałem tam mnóstwo płyt i wydawnictw, z których większość przez lata nie była dostępna w Polsce. To była dla mnie największa miejscowa atrakcja. W czasie całego czteromiesięcznego pobytu w Montrealu co weekend ruszałem metrem do sklepu HMV i godzinami przebierałem tam w płytach. Zawsze wracałem z nową płytą i przez resztę weekendu słuchałem muzy w apartamencie. W tygodniu przynosiłem nowinki na treningi i wtedy wszyscy już wiedzieli, kto danego dnia trenuje na

hali. Aż trudno uwierzyć, że była to moja jedyna rozrywka w tamtym czasie. Montreal oferował znacznie więcej, jednak wciąż pozostawałem wtedy bardzo rozważny.

Z czasem poczułem się w kanadyjskim mieście bardzo komfortowo, prawie jak w domu. Samotność straciła na sile, mój angielski się poprawiał, a nauka cyrkowych elementów przebiegała coraz lepiej. Poznawałem nowych ludzi i na dobre zaprzyjaźniłem się z Markiem Dammersem. W życiu powracały kolory i wszystko nabierało odpowiednich kształtów. Nie chciałem stamtąd wyjeżdżać. W połowie marca 1998 r. nastąpił jednak czas selekcji. Z dnia na dzień pożegnano Mishę i Shawna, każdego z innego powodu. Misha odstawał umiejętnościami akrobatycznymi i technicznymi. W przeciwieństwie do nas nie był sportowcem, lecz wyłącznie cyrkowcem. Nie potrafił dobrze skakać na trampolinie. Shawn odpadł z czysto personalnych powodów. Miał trudny charakter i na dłuższą metę nie był w stanie bezkonfliktowo współpracować. Osobiście nie miałem z nim kłopotów. Co więcej, do dzisiaj utrzymujemy kontakt. Zrezygnowano więc także z niego, chociaż w pozostałych aspektach pracy cyrkowej naprawdę świetnie sobie radził. Cyrk prowadził złożoną i wielotorową selekcję kandydatów. Wyjaśnił mi to później trener Warren. Przez cały czas byliśmy obserwowani i oceniani pod kątem przydatności do pracy na scenie oraz pracy z innymi artystami. Nie wystarczyło być dobrym akrobatą. Cyrk poszukiwał bowiem zdolnych, perspektywicznych i kompatybilnych artystów cyrkowych.

Na koniec zostaliśmy z Holendrem we dwóch. Reszta trenujących artystów udała się do miejsc położenia przyszłych spektakli w Las Vegas i Orlando. W siedzibie cyrku zrobiło się pusto i to z kolei wykluczało nam możliwość dalszych równie intensywnych treningów. Do treningu deski potrzebnych było co najmniej czterech skoczków. Przez pewien czas zapanowała wręcz sielanka. W Montrealu nastąpiła piękna wiosna i zrobiło się wreszcie ciepło. W przerwach pomiędzy treningami siadaliśmy z Markiem na kawie w ogrodzie cyrku w towarzystwie innych pracowników. To był naprawdę dobry rozdział mojego życia. Jedyne, czego oczekiwałem z niepokojem, to decyzji o mojej przyszłości w cyrku. W Polsce dobiegał właśnie końca mój



bezpłatny urlop pracowniczy w szkole i musiałem decydować, co dalej. Pomimo braku kontraktu podjąłem decyzję i zrezygnowałem z etatu nauczyciela. Było to ryzykowne rozwiązanie. Przez kilka tygodni byłem bez pracy w Polsce i bez kontraktu w Kanadzie. W tym czasie zdążył dołączyć do nas ukraiński skoczek na trampolinie Rustam Vaghidov. Niedługo potem Marc złamał kość śródstopia i sprawy lekko się skomplikowały zarówno dla mnie, jak i dla niego. Planowaliśmy po podpisaniu kontraktu wspólnie zamieszkać w Vegas. Złamanie nogi postawiło pod znakiem zapytania dalszą karierę cyrkową. Marc zresztą od samego początku nie miał szczęścia w pracy cyrkowej. W końcu otrzymał kontrakt, ale po niespełna roku ponownie złamał nogę. Tym razem w trakcie spektaklu złamał kość udową i musiał zakończyć karierę artysty cyrkowego. Pozostał jednak w Las Vegas, gdzie odnalazł się w zawodzie informatyka i pracuje tam do dzisiaj.



Marc Dammers „Snickel” i ja

W połowie kwietnia 1998 r. otrzymałem wymarzoną wizję amerykańską. Zaraz potem zaproszono mnie też do negocjacji kontraktowych. Pełna kultura i profesjonalizm. Przedstawiono mi do podpisania kontrakt ze standardową i startową na tamte czasy ofertą wynagrodzenia osiemdziesiąt pięć dolarów za każdy spektakl. Gaża za jeden spektakl wyniosła mniej więcej tyle, ile zarabiałem w Polsce w ciągu miesiąca pracy w szkole. Tymczasem spektakli w miesiącu pracy było przeszło czterdzieści. Zaraz po zawarciu kontraktu otrzymałem też bilety na wylot do Las Vegas. Miałem jedynie kilka dni na spakowanie i pożegnanie się. Niektórych znajomych z Montrealu pożegnałem raz na zawsze. Znowu ogarnął mnie smutek związany z rozstaniem. 13 maja 1998 r. opuszczałem Kanadę. Raz na zawsze zabierałem ze sobą wspomnienia wypełnione czterema miesiącami wspólnego i niezapomnianego pobytu w Montrealu.